

Przez przeszłość do przyszłości.

Prezydent, który chce mieć naprawdę wielką Warszawę.

Rozmowa z prezydentem m. Warszawy Stefanem Starzyńskim.

Warszawa, w czerwcu.

Szedłem po drewnianych schodach, tymczasowo przybudowanych zzewnątrz do jednego z pięciu pawilonów warszawskiego Muzeum Narodowego, budującego się koło Trzeciego Mostu. W pawilonie tym mieści się wystawa „Warszawa przyszłości“, budząca w mieszkańcach stolicy większe zainteresowanie, niż wszystko co jest w Warszawie teraźniejsze. Przeszło 110.000 ludzi przeszło już po tych schodach i fala zwiedzających płynie dalej. Nasuwa się dość

łatwy zresztą kalambur, że miasto, które ma tak przykre widoki za ostatnie sto lat swojej przeszłości, a niewesołe na — teraźniejszość, właśnie dlatego tak chętnie myślą w przyszłość dąży. Tak, to jednak nie tylko „bon mot“. Na istnieniu Warszawy, bardziej niż na istnieniu jakiegokolwiek innego miasta, zaciążył — czas. Ten czas, który jej — zrabowano...

Zpośród różnych dóbr, jakie zabrał Warszawie najeźdźca i zaborca w ciągu swego władania naszą stolicą, niewątpliwie najbardziej wartościowym były te

120 lat, które Rosjanie zrabowali Warszawie,

o które opóźnili ją w rozwoju. A choćby tylko te wieki, które dzielą czasy księcia Lubckiego — okres, kiedy Warszawianie byli jeszcze bądź co bądź u siebie gospodarzami i dźwigali zarówno kraj jak miasto — do początku wielkiej wojny. Setka lat — to olbrzymi kawał czasu. A zwłaszcza ta setka ostatnia, kiedy w całej Europie miasta swobodnie szły naprzód, korzystając ze wspaniałego rozwoju techniki, z ogromnych postępów urbanistyki: sztuki budowania i rozbudowywania miast, tworzenia całości wszystkich tych warunków, które składają się na współczesną kulturę miejską.

Warszawa żyła przez te sto lat z ręką najeźdźcy na gardle — ręką, której drapieżny ucisk tylko na tyle popuszczał oddech, żeby mogła utrzymać się przy życiu. Członki jej jednak były skrepowane, o swobodnym rozwoju nie było mowy. Właśni jej synowie nie mieli głosu, nie mieli prawa troszczyć się tak, jakby mogli i chcieli, o jej wielkość i piękno. Gdy wszystkie miasta europejskiego zachodu, a zwłaszcza stolice, przekształcały się nowoczesnie, gdy sprawiała sobie nową szatę w miarę wzrostu — Warszawy, aby nie urosła nad miarę, strzegła jak zły pies Cytadela; aby nie wypiękniała i nie promieniowała właściwą swoją urodą broniła ręką barbarzyńców.

Nie mogła być, jaką chciała, Warszawa, nie mogła ubrać się tak, jak ją na to stać było: choć było ją stać, bogactwa jej zabierał obcy, aby rozbudowywać i upiększać „Petrograd“ — a z Warszawy mieć tylko „nadwiślański“ karawanseraj, stację przejazdową między Zachodem Europy a Wscho-

Mimo to wszystko, nie dała się zgniebić ostatecznie Warszawa. Za dużo w niej było już piękna, które pozostawiło Stare Miasto patrycjuszów miejskich, bogactwa i dobry smak magnatów we wspaniałe pałace zakłety. I tego, które stworzyły czasy Stanisława Augusta, oraz późniejszy, z niemi się organicznie wiążący, romantyczny neoklasycyzm. Tylko wszystko to stało spętane, — najeźdźca starał się przykryć to piękno pokostem barbarzyńskiej brzydoty.

Na szczęście, te czasy już są za nami bezpowrotnie. Warszawa jest sobą. Warszawa już nie tylko o swej teraźniejszości myśli, ale także o przyszłości — a żywym, plastycznym, imponującym tej myśli wcieleniem jest wystawa.

Kilka sal, w nich niewielkie, w stosunku do obiektów, modele plastyczne, wykresy, mapy — ale

wszystko razem zawiera ogrom rozmachu, jaki ma tylko — marzenie.

Pierwsze pobieżne spojrzenie, rzucone na ściany gabinetu prezydenta Starzyńskiego,

mówią mi — czem zajęta jest myśl tego człowieka. Na ścianie naprzeciw jego biurka wiszą trzy obrazy: niedocenianego naleźca jako malarza olejny i pejzażysty. Fr. K o s t r z e w s k i e g o „Saska Kępa“, G e r s o n a krajobraz olejny przedstawiający dawne Nowe Miasto na Starem Mieście w Warszawie oraz krajobraz z architekturą, przedstawiający pałacyk w Mokotowie, pędzla nieznanego autora z r. 1820. W każdym innym mieście, u nas przedewszystkiem w Krakowie, to rzeczy zwykle — te dawne dzieła sztuki dotyczące się przeszłości miasta, zebrane zamilowaniem i pracowitością już kilku pokoleń.

Ale w Warszawie to rzecz nie tak prosta: te wszystkie i inne pamiątki zostały tu zgromadzone dopiero w ostatnich paru latach, wykupione gdzieś od prywatnych antykwaryjuszów; pałacyk Mokotowski sprowadzono aż z Wiednia. Przeszłość bowiem Warszawy rozproszyła się po świecie w ciągu tych, zrabowanych naszej stolicy przez najeźdźcę, lat stu. Dopiero teraz z powrotem zbiera je i gromadzi myśl twórcza, w Warszawie zakochana... Te myśli przechodzą mi przez głowę, gdy tymczasem prezydent Starzyński zaczyna mówić o tem, czem jest zajęty ciągle i czem każdej chwili gotów jest podzielić się z każdym objawiającym dla tej sprawy choć trochę zainteresowaniem.

— Są przyczyny różne i ważne pewnego zaniedbania się powojennego Warszawy.